

Polskie miasto na Dzikim Zachodzie

Polacy mają swoją kartę w historii Dzikiego Zachodu. W Teksasie istniały polskie miasteczka, których mieszkańcy - jak w historiach z westernów - musieli radzić sobie z rewolwerowcami, rozpasanymi kowbojami i Indianami.

Oltarz i szubienica

W stanie Teksas, w okolicach San Antonio, leży miejscowość o nazwie Panna Maria. W jej centrum stoi kamienny kościół, opodal którego rośnie stary dąb. To drzewo to miejsce szczególne.

Pod dębem ksiądz Moczygamba, który w połowie XIX w. sprowadził do Panny Marii pierwszych osadników ze Śląska, odprawił pierwszą mszę w wigilię 1854 roku. Jakiś czas potem Moczygamba musiał uciekać przed swoimi wściekłymi parafianami, którzy chcieli go na tym samym dębie powiesić. Ale opowiedzmy historię od początku.

Ziemia obiecana księdza Moczygemby



Rys.1. Słynny dąb z Panny Marii

W połowie XIX w. wielu Europejczyków wyjeżdżało do Nowego Świata, traktowanego jako nowa ziemia obiecana. Po ubogich wsiach wszystkich trzech zaborów krążyli przedstawiciele "agencji emigracyjnych", którzy zajmowali się agitowaniem za wyjazdem do Ameryki oraz jego organizowaniem. W kilku śląskich wsiach, należących wtedy do Prus, rolę agenta emigracyjnego spełnił pochodzący z tamtych okolic ksiądz Moczygamba.

Ten 30-letni wtedy franciszkanin, pochodzący z Płużnicy Wielkiej, wysłany został przez przełożonych swego zakonu do Teksasu. Teksas spodobał mu się, i ksiądz uznał, że tamtejsze warunki byłyby idealne dla jego ziomeków z Płużnicy i okolic, głównie wsi Toszek i Strzelce. Widział bogactwo osadników niemieckich i angielskich, którzy gospodarowali na żyznych tamtejszych ziemiach. Zaczął słać do domu listy.



Rys.2. Józef Sławiński: Ojciec Moczygęba wita Polskich osadników w Teksasie

- Przyjeżdżajcie - obiecywał. - Ziemi pod dostatkiem, żadnych podatków, żadnej branki do pruskiej armii, klimat cudowny, uprawiać można ile się chce, by wyżywić siebie i rodzinę, i jeszcze sprzedać z wielkim zyskiem. Generalnie - miód i mleko. Przyjeżdżajcie.

Bieda, która panowała wówczas we wsiach całej praktycznie Środkowej Europy, podpowiedziała przyszłym obywatelom Panny Marii, że nie ma sensu zastanawiać się przesadnie długo. Tym bardziej, że większość z nich - prostych rolników - miała dość nikle pojęcie, jak daleko jest ten cały Teksas. Kilkuset Dolnoślązaków - w tym czterech braci księdza Moczygęby - sprzedało swoje domy i pola - i wyjechało.

Jechali pociągiem do Poznania, gdzie niemieckojęzyczna prasa - jak pisze Kathryn Rosypal, która prześledziła historię śląskich osadników - ze zdziwieniem odnotowała pojawienie się grupy Polaków. Ze zdziwieniem, ponieważ "Słowianie są do tego stopnia związani ze swoją ojczystą ziemią, że emigracja w ich przypadku to rzecz wyjątkowa".

Emigranci pojechali następnie przez Berlin do Bremy, gdzie zaokrętowali się na dwa statki: "Weser" i "Antoinette". Jak pisał Waław Kruzka w wydanej w 1905 roku w Milwaukee "Historii Polskiej w Ameryce", "o trudach i niebezpieczeństwach ówczesnej podróży, bądź na lądzie, bądź na morzu, starzy osadnicy do dziś dnia opowiadają dziwy".

Mimo, że był to standardowy rejs, jakie w tamtych czasach odbywano przez Atlantyk, dla Ślązaków, którzy nigdy nie znajdowali się specjalnie daleko od domu - wyjąwszy obowiązkową służbę w pruskiej armii - faktycznie mógł zdawać się koszmarem. Trwała 2 miesiące, a warunki na zatłoczonym statku nie należały do lekkich. Nie wszyscy przetrwali podróż. W morzu trzeba było pochować żonę jednego z braci Moczygębów. W końcu jednak - jak czytamy w "Historii" - "Żaglowcem przybyli do Galveston, portu w Zatoce Meksykańskiej.

Stamtąd przywieziono ich do Indianolla, miejsciny składającej się z paru domków, a raczej bud, obecnie już nie istniejącej, gdyż wylewy morza i burze dawno ją zniszczyły".

Egzotyczne Ślązaczki w nieprzyzwoitych spódnicach



Rys.3. Ks. Moczygęba

Przybycie osadników opisał w swoich pamiętnikach niejaki L.B. Russel, opisując ze zdumieniem "dziwne ojczyste stroje" osadników. Russel wspomina tradycyjne suknie śląskich kobiet, które kończyły się kilka cali nad kostkami, co uchodziło wówczas w Ameryce za nieprzyzwoite i wyzywające. Wielu osadników miało na stopach drewniane chodaki, większość nosiła na głowach ludowe, płaskie kapelusze i ciepłe, błękitne, wełniane kubraki. Z kubraków tych w upalnym Teksasie musiano szybko zrezygnować. Osadnicy zaskoczeni byli, że w Teksasie nie ma zimy. Podekscytowani, donosili o tym fakcie w pierwszych listach do rodzin, które pozostały w starym kraju.

Amerykanie gromadzili się w indyjskim porcie, by podziwiać tę malowniczą i egzotyczną zbieraninę, która snuła się niepewnie po porcie, czekając na kogoś, kto powie im, co robić dalej. Księża Moczygemby, który miał ich oczekiwać - nie było.

W poszukiwaniu raju księdza Moczygęby



Rys. 4. Droga do „ziemi obiecanej”

Cała, kilkusetosobowa grupa wybrała się więc na piechotę do San Antonio, gdzie - według pogłosek - miał bawić Moczygęmba. Był to pierwszy raz, kiedy ksiądz porządnie naraził się emigrantom.

Wyobraźmy sobie teraz tych kilkuset osadników, ciągnącą 250 kilometrów przez teksaskie bezdroża. Idą w drewnianych chodakach, błękitnych, ludowych kubrakach i wyzywających spódnicach przez równinę pełną dzikich drapieźników, grzechotników, tarantul. Przez cały czas podróży narażeni są na atak Indian czy bandytów, o których okrucieństwie krążą po Teksasie legendy. Za osadnikami idą wynajęci Meksykanie, właściciele wozów zaprzężonych w woły, na który załadowany jest dobytek emigrantów, w tym ogromny, drewniany krucyfiks i dzwon z kościoła Płużnicy Wielkiej. W dzień panuje skwar niesamowity, noc są bardzo zimne. Niektórzy umierają. Część osadników - jak pisze Kathryn Rosypal - po drodze zrezygnowała z dalszej wędrówki i osiedliła się w napotkanych po drodze niemieckich osadach. I tak to polscy Ślązacy, uciekający z pruskiego zaboru, trafili znowu pomiędzy ludzi mówiących znajomym - bądź co bądź - językiem.

Pozostali jednak powędrowali dalej.

Na tym etapie nastąpił mały happy end: w San Antonio osadnicy jakimś cudem odnaleźli księdza Moczygembę, który powiódł ich około 100 kilometrów z powrotem, do miejsca, gdzie za kościelne pieniądze kupił dla przyszłych osadników ziemię od irlandzkiego bankiera Johna Twohiga (przeplacając podobno cztery razy). Meksykanie wyładowali toboły z wozów, zainkasowali umówioną należność i odjechali. I tu mały happy end się kończy: osadnicy pozostali - cokolwiek zdziwieni - sami na płaskim, jak patelnia stepie. Nie było tu nic, nic kompletnie. Dookoła - dziesiątki mil pustki. Jak czytamy w "Historii polskiej w Ameryce":



Rys. 5. Mapa Teksasu

„[Osadnicy] nie mieli - prócz sklepienia niebios - innego dachu nad głową. Za pościel ziemię mieli, a niebo za przykrycie. Każdy jak mógł starał się zaradzić złemu: jedni pod dębami, inni znów w ziemi poczynili sobie schronienia. Położenie ich, już i tak złe, pogorszyło się jeszcze bardziej, gdy nastala pora deszczowa. W czasie tym nie tylko rzeczy, które ze sobą przywieźli z kraju, uległy zniszczeniu, ale i febra i inne choroby zdziesiątkowały szeregi naszych pionierów. I tak niejedna córka, niejeden syn, pozostał bez ojca lub matki. Na dobytek złego to co kupili z inwentarza, na pół dzicy tubylcy starali się im zabrać. Srogi był ich los, zewsząd biły w nich klęski i nieszczęścia, widmo nędzy zaglądało im w oczy”.

Powołując się na Kathryn Rosypal, ksiądz Moczygemba nie spodziewał się tak wczesnego przybycia osadników, nie zdążył więc przygotować osady pod zasiedlenie. Ślężacy kopali ziemianki, które przykrywali darnią. Rychtowali prowizoryczne szałas i namioty. W wigilię bożego narodzenia ksiądz Moczygemba odprawił - pod sławetnym dębem - pierwszą mszę dla osadników. Był to symboliczny początek osady, nazwanej Panna Maria.

Tortille w Pannie Marii

Część osadników, rozejrzawszy się po okolicy, zabrała dobytek i rozjechała się po istniejących już osadach. Inni zaczęli gospodarzyć na swojej nowej ziemi, której - jako jedynej rzeczy - było pod dostatkiem. Jeden z osadników pisał do rodziny, która pozostała na Śląsku, że ziemi, którą ma, a ma 400 arów, nie daje rady zorać. Ze Śląska - tymczasem - przybywali kolejni osadnicy. Mieszkańcy Panny Marii - niezadowoleni z jakości amerykańskich narzędzi rolniczych, pisali do rodzin, by przywozili im te, których używali w Polsce.

Zbudowali kościół i szkołę. Jakiś czas potem powstał pierwszy murowany dom. Pozostałe - były drewniane. Ślązacy budowali charakterystyczne dla swojego regionu spadziste dachy, które wyróżniały Pannę Marię spośród innych osad.

Nauczyli się uprawiać bawełnę i kukurydzę, na którą mówili "korna". Sąsiadujący z nimi Meksykanie nauczyli ich piec kukurydziane placki, które wszyscy znamy jako tortille. Z czasem stały się one lokalnym przysmakiem.

Po dwóch latach względnej prosperity przysły straszliwe susze, które zniszczyły większość plonów. Osadę najeżdżali Indianie i uzbrojone bandy. Coraz częściej słychać było rewolwerowe strzały. Panna Maria głodowała, a część osadników rozjechała się po okolicznych miasteczkach w poszukiwaniu zarobku. Ci, którzy zostali, przeklinali los, który sprowadził ich na teksaską ziemię. Przygotowali sznur, który przerwali przez konar dębu, pod którym ksiądz Moczygamba odprawił pierwszą mszę. Chcieli go na nim powiesić. Moczygamba - pewnej nocy - uciekł z osady.

Ksiądz strzela do Tekszańców



Rys.6. Jeden z potomków Ślązaków w Teksasie

Później losy osady toczyły się ze zmiennym szczęściem. Osadników, którzy uciekli do Nowej Ziemi przed - między innymi - pruską branką, wzięto w "kamasze" podczas wojny secesyjnej. Polacy wymigiwali się od służby, skłonni - jeśli już - popierać Unię, a nie niewolnicze Południe. Nie zaskarbiło to sympatii ich sąsiadów, tym bardziej, że z Panna Maria Greys, kawaleryjskiego oddziału konfederatów utworzonych ze Ślązaków, wielu puciekało na północną stronę.

Niedługo po wojnie, kiedy nad Teksasem nie było praktycznie żadnej zwierzchniej władzy, panowało prawo pięści, a uzbrojone bandy robiły, co chciały - dochodziło do częstych napadów na Pannę Marię. Na ulicach dochodziło do westernowych strzelanin. Ślązacy uprawiali się w rewolwerach i winchesterach. Umiejętność szybkiego wyjmowanie pistoletu z kabury uratowała życie niejednemu Ślązakowi.



Rys.7. Jeden z murowanych domów śląskich w Teksasie

Jeden z takich napadów opisany został w cytowanej już "Historii Polaków w Ameryce", powołując się na pamiętniki ks. Bakanowskiego:

"W roku 1868, w pierwszy dzień świąt wielkanocnych, kiedy wszyscy z Panny Maryi byli w kościele, z rozmaitych stron zjechali się Amerykanie, w celu naigrawania, zaczepek, nawet i bitwy z Polakami. Wszyscy byli uzbrojeni, ale nikt z Polaków, bo któż się spodziewał, że trzeba będzie broń zabierać z sobą do kościoła. Po skończonem nabożeństwie Amerykanie rozpoczęli bitwę. Było ich pewno około 80 na koniach, oprócz tego ukazało się wiele rozmaitych kolasek, powozików, napelnionych paniami (ladies), które zdała przypatrywały się jak Amerykanie strzelać będą do Polaków. Walka rozpoczęła się naprzód od kamieni, Amerykanin strzelał z dubeltówki do polskich niewiast, stojących pod kościołem, ale mu pistony nie wypaliły".

Ksiądz Bakanowski, jak dalej pisze, wściekł się, wbiegł na dzwonnice, chwycił strzelbę i zaczął ostrzeliwać Tekszańców, doprowadzając do ich rejterady.

Tego typu historie zdarzały się bardzo często. Bakanowski nosił - jak pisał - przy boku rewolwer. Niektórzy z mieszkańców Panny Marii - jak na przykład niejaki Rzeppa - zyskali sławę świętych teksaskich "pistoleros".

Ghost Town

Dzisiaj Panna Maria jest sennym, teksaskim "ghost town". Kościół i dąb, na którym o mało nie zawisł "ojciec założyciel" osady, traktowany jest jako symbol Panny Marii. Mieszkańcy - których pozostało tu około stu - żyją w okolicznych farmach, niejednokrotnie odległych o kilkanaście kilometrów od centrum, w którym - notabene - oprócz kościoła, dębu i sklepu niejakiego Snogi, w który kupić można polskie pamiątki - jest niewiele. Mieszkańcy Panny Marii noszą białe, teksaskie kapelusze i - na oko - niespecjalnie różnią się od swoich sąsiadów z okolicznych miasteczek. Mówią jednak swoim językiem - śląską gwara z połowy XIX w.

Gwara ta jest bardzo specyficzna - rozwijała się przecież w oderwaniu od głównego pnia polszczyzny. Dlatego - kiedy trzeba było - powstawały nowe słowa. I tak - na przykład - grzechotnik to "szczyrkówka". Samolot nazwano "furgaczem", od śląskiego "furgoć", co znaczy "latać". Ludzie rozmawiają między sobą na przemian - trochę po śląsku, trochę po angielsku.

Panna Maria wtopiła się w Teksas.

Ziemowit Szczerek

Artykuł „Polskie miasto na Dzikim Zachodzie” pochodzi z portalu internetowego interia.pl spod adresu:

http://fakty.interia.pl/tylko_u_nas/news/polskie-miasto-na-dzikim-zachodzie,1043021,3439